

Do Poznania przybyłem w mroźną zimową porę. To wielkie piękne miasto pozostało mi w pamięci z ostatnich dni lutego 1945 r. Uczestniczyłem w uroczystości pogrzebowej, spoczywających w braterskiej mogile radzieckiego czołgisty i polskich patriotów. Lecz przedtem poznałem poznańską kamienną twierdzę, stary obronny wał i potężne mury wzniesione nad miastem. Cytadelę poznańską Niemcy przystosowali do obrony i zasiedli w niej, zacięcie walcząc, wówczas, gdy samo miasto było już wolne.

W murach Cytadeli ukrył się prawie 10-tysięczny garnizon. Podziemnymi przejściami, wiodącymi na miasto, hitlerowcy dokonywali wypadów do śródmieścia, zabijając żołnierzy radzieckich i polskich patriotów. Prawie przez miesiąc siedzieli faszyści w twierdzy. Tylko generalny szturm oddziałów radzieckich i polskich zmusił ich do kapitulacji. Działo się to 23 lutego, w dniu rocznicy Armii Radzieckiej. Komendant ugrupowania hitlerowskiego gen. Gommel po podpisaniu kapitulacji zastrzelił się. Z kazamat Cytadeli wypelży kolumny głodnych, brudnych, przynębionych żołnierzy i oficerów. Później do Cytadeli zwieziono rannych hitlerowców z całego miasta... Powstał wielki szpital.

My, grupa radzieckich dziennikarzy wojennych, weszliśmy do twierdzy, gdy jeszcze mieścił się tam szpital. Wiele drzwi było wybitych artyleryjskimi pociskami, a ściany nawet wewnątrz izb nosiły ślady broni automatycznej. Wśród wąskich strzelniczych okien komnat Cytadeli ciągnęły się szeregi żelaznych łóżek. Krzątały się sanitariuszki, siostry, pielęgniarki. W sali operacyjnej chirurdzy pracowali dosłownie dzień i noc.

A jeńcy — hitlerowscy lekarze — spoglądali na wszystko oczami pełnymi strachu, nawet wtedy, gdy przekonał się, że ich leczą a nie zabijają, nie męczą, jak zapowiadała hitlerowska propaganda.

Z nieukrywaniem uczuciem ulgi wyjechaliśmy z Cytadeli. Wkrótce nasz samochód znalazł się na jednym z placów miejskich, gdzie do-

O JEDNOŚĆ NARODU

Zdjęcie K. Przychodźkiego z wystawy „Reportaż”, zorganizowanej w salonie PTF z okazji XX-lecia „Głosu Wielkopolskiego”



BYŁO TO W POZNANIU

Anatol Miednikow

pisarz radziecki

postanowili jego towarzysze walki. Dość, że maszyna z trumną przybyła z linii frontu odległego o 200 km od Poznania.

— Niech nasz bohater spoczywa w ciepłej, braterskiej ziemi w Polsce — powiedział nad otwartą mogiłą płk Paweł Szargorodskij. Czołgiści stanęli dookoła. W ciszy padła salwa karabinowa. Żalobną salwą zęgnali się z Maksimem Piotrowem towarzysze broni. Był to salut przyjaźni, spojonej krwią bojowników, przelanej na ziemi rosyjskiej, na ziemi polskiej i na ziemi niemieckiej. Wkrótce nad ziemią urosły mogiłki pokryte zielenią drzew iglastych i kwieciami. Polskie kobiety w płaczu przypadały do mogił swoich najbliższych, podtrzymywane przez przyklekłych czołgistów. Orkiestra grała marsz Chopina.

— W godzinę później opuściliśmy Poznań na ciężarówce czołgistów, którzy spieszyli na front. Dłuższy czas na maszynie wszyscy milczeli. Siedziałem obok starszego sierżanta Pawła Siniczkina. Był on świetnym strzelcem w załodze Piotrowa. Brał udział ze zmarłym w walkach prawie w ciągu dwóch lat w tym sa-

mym czołgu i kochał swego dowódcę jak brata. Pomimo epoletów starszego sierżanta i dwóch orderów na mundurze „Krasnej Zwizdy” („Czerwonej Gwiazdy”) ten Wołżanin z chudą, chłopięcą szyją i białymi brwiami, wyglądał na dziecko.

— Ciężko jest umierać bohaterowi tuż przed bliskim zwycięstwem — odezwał się do mnie po dłuższej chwili milczenia.

— Tak, oczywiście.

Siniczkin podniósł na mnie wzrok. Niewiele współczucia wyrażało to moje potakiwanie, lecz dla czołgisty było ważniejsze od wszystkiego. Wciąż myślał o śmierci swego dowódcy, o walkach na polskiej ziemi, wiążąc i inne uczucia w jedno wspomnienie, tak jak nierozdzielne są muzyka i słowa pieśni. Nagle z jakąś rezygnacją uderzył pięścią w skraj brezentu, zwisającego z maszyny.

...Jechaliśmy po ziemi polskiej na front w ciężarówce, w której niedawno była trumna. Do zwycięstwa pozostawało już tak niewiele. Wojna zbliżała się ku końcowi, lecz wiele szalone było jeszcze zginąć w imię pokoju, w imię wolności i Rosji i Polski i Niemiec...

(Agencja Prasowa „Nowosti”)

terenie Fortu VII, stanowiącego część dawnych umocnień obronnych wokół Poznania. Był to jeden z najokrutniejszych hitlerowskich obozów kaźni na polskich ziemiach wcielonych do Rzeszy. Datą jego powstania jest dzień 3. 10. 1939 r., kiedy o godz. 14 na rozkaz gen. Schenckendorffa postawiona tam została straż wojskowa spośród żołnierzy stacjonującego w Poznaniu 148 pułku piechoty. Tydzień później, 10. 10. 1939, o godz. 13 całkowita kontrolę nad Fortem VII przejęła policja bezpieczeństwa. Miało tu znaleźć pomieszczenie 1200 osób. Fort VII nie miał jednakże charakteru obozu koncentracyjnego w takim sensie, jak np. oboz w Dachau na terenie Rzeszy. Był to raczej oboz przejściowy, z którego więźniów przekazywano sądom lub też do obozów wielkich, jak wyżej wymieniony. Miał on też częściowo charakter obozu zagłady, gdyż wielu więźniów było w nim niewłócznie uśmiercanych przez rozstrzelanie, powieszenie lub zagłodzenie i zamęczenie podczas przesłuchań połączonych z torturowaniem. Wieziono w nim przeważnie polskich działaczy politycznych i społecznych.

*

Do najbardziej ponurych poczynąń hitlerowskich władz okupacyjnych należało w okresie zarządu wojskowego przeprowadzanie licznych masowych egzekucji wśród ludności polskiej. Oficjalnie władze te głosiły, że egzekucje, polegające zwykle na publicznym rozstrzelaniu, są karą za przestępstwa, których ludność polska jakoby dopuściła się przed wojną i na początku września 1939 r. wobec mniejszości niemieckiej. Propaganda hitlerowska podburzała przedstawicieli mniejszości niemieckiej do akcji odwetowych. W dużym stopniu czynili to również landraci podczas organizowanych przez nich wieców ludności niemieckiej w poszczególnych powiatach.

Egzekucje publiczne w Wielkopolsce odbywały się przeważnie na podstawie wyroków sądów doraźnych

policji bezpieczeństwa. Sądy te zbierały się na żądanie miejscowych władz policyjnych lub cywilnych. W posiedzeniach brali też udział landraci, np. landrat von Baumbach w Lesznie. Przede wszystkim jednak sąd ten składał się z funkcjonariuszy grupy operacyjnej policji bezpieczeństwa, którzy wraz z oddziałem SS-mannów przywiali z Poznania do danej miejscowości. Przewodniczącym sądu był zwykle kierownik Einsatzkommando, któremu podlegała dana miejscowość. Sąd doraźny najczęściej też w czasie jednego wyjazdu w teren „urzedował” po kolei w kilku miastach. Podczas przeprowadzania egzekucji SS-mannom pomagali oddziały policji porządkowej oraz wojsko. Zdarzały się też rozstrzeliwania bez przeprowadzenia przewodu sądowego. O stosowanej przez okupanta metodzie zastraszania ludności polskiej świadczy fakt rozstrzeliwania zakładników. Tak więc w dniu 20. 10. 1939 r. rozstrzelano w Kórniku 15 osób wziętych jako zakładników w poprzednich dwóch dniach. W okresie tym nie było w tej okolicy żadnych wystąpień przeciw Wehrmachtowi lub miejscowym Niemcom. Zakładników rozstrzelano też wtedy w Kościanie i w innych miastach.

Przed rozstrzelaniem skazańcom rabowano posiadane przez nich wartościowe przedmioty, jak zegarki, pierścionki itp. Według zarządów władz okupacyjnych przedmioty te ulegały konfiskacie na rzecz skarbu Rzeszy.

Więźniowie i skazańcy byli zwykłe przed egzekucją w nieludzki sposób katowani i maltretowani. Dekret Hitlera z 4. 10. 1939 r. zapewniał jednak oprawcom bezkarność za ich czynny przestępstwa popełnione w okresie od 1. 9. — 4. 10. 1939 r. na okupowanych ziemiach polskich, a wywołane „rozgoryczeniem z powodu okrucieństwa Polaków”. Władze stwarzały zatem warunki do popełniania zbrodni i popierały bezprawie.

Feliks Fornalczyk

Poznański konkurs

Chodzi oczywiście o konkurs na powieść współczesną ogłoszony przez Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne, poznański oddział Związku Literatów Polskich oraz Wydawnictwo Poznańskie. Nadesłano na ten konkurs z całej Polski 123 prace, z których ja sam przeczytałem 89. Z tyłoma pracami zapoznali się również pozostali jurorzy poznańscy, Aleksandra Misterska i Tadeusz Kraszewski. Nam trojgu poznania-kom przypadła też największa cześć pracy — przeczytanie, ocena i wstępna eliminacja owych stosów maszynopisów, z których niejedną liczył 700 i 800 stron.

Do dalszej eliminacji — to znaczy do jurorów spoza Poznania — szły te prace konkursowe, które otrzymały we wstępnym czytaniu przynajmniej jedną ocenę dodatnią. Tym sposobem jurorzy „zamiejscowi” — Wilhelm Mach, Władysław Machejek, Włodzimierz Maciąg, Hieronim Michalski i Wacław Sadkowski — zapoznali się w sumie z około 50 pracami. Ten system zdał praktyczny egzamin, ułatwił bowiem końcowe rozstrzygnięcia i sprawił, że konkurs w oczach jurorów z Warszawy i Krakowa uchodzi za udany i dobry.

Oczywiście, biorąc przeciętną owych 50 wyselekcjonowanych ze 123 prac konkursowych to istotnie nie jest źle. Nie wypadnie też źle ocena poznańskiego konkursu powieściowego, jeśli zestawimy go z innymi konkursami tego typu, organizowanymi w ostatnich latach w innych ośrodkach wydawniczych kraju. Stwierdzali to jednomyślnie i Mach, i Machejek, i Michalski, i Maciąg, i Sadkowski. Właśnie z tego porównania konkursu poznańskiego z innymi konkursami dedukowana była owa zgodna, wysoka ocena dodatnia imprezy konkursowej Poznania.

Ale ja — com czytał dużo więcej nadesłanych prac, niż nasi „zagraniczni” jurorzy — tak jak one nadszły, bez wyboru, miałem powody do innego zdania. Zwłaszcza około połowy ubiegłego roku, a więc jeszcze przed przesunięciem daty ostatecznego zakończenia konkursu. Nie brakowało bowiem wówczas wszelkiego rodzaju swojskiej grafomanii, tekstów przeraźliwie kiepskich, które wręcz odbierały ochotę do czytania i nasuwały refleksje, czy ja aby dobrze zrobiłem, godząc się na ten rodzaj pracy.

W miarę jednak lektury oswajałem się z tym wszystkim. Gdzieś po 20—30 maszynopisach zaczęły mi się w tym rozbełtanym morzu wszelakiej różności układać jakieś wspólne wątki, sprawy, tematy — zależności i odrębności poszczególnych tekstów — podobieństwa i odkrycia różnych autorów... Nie było ciągle jakiejś wielkiej rewelacji, lecz wyodrębniło się już wyraźnie kilka spraw, kilka tematów, które powtarzały się systematycznie — w różnych ujęciach — w coraz większej liczbie powieści. Jakież to były sprawy?

Otóż wiele prac powieściowych podejmowało motywy okupacji, ale nie stanowiły one w tych ujęciach zasadniczego problemu — były one natomiast jakby oznaką zacieraającego się w pamięci etapu biografii autorów, którzy swoje życie właściwie przeżyli lub przeżywają po wojnie, w Polsce Ludowej. Okupacja zresztą wyraźnie kontrastowała w tych ujęciach z późniejszym etapem życia bohaterów.

I kolejną zmienną rzecz. Oto przeważająca część prac konkursowych brała za temat życie dzisiejsze, w konkretnych warunkach społecznych, najczęściej w jakimś dość wyraźnie określonym biurze, instytucji, fabryce... Bywały to zazwyczaj ujęcia demaskatorskie, ukazujące „niezdrowe stosunki” między kierownictwem a załogą zakładu; między ludźmi w pewnym sensie skorumpowanymi, nieszczerymi a ogółem, dobrym w swoich dążeniach... Na tym tle wikłały się w tych powieściach konflikty. Biorąc pod uwagę częstotliwość ujęć, kto wie, czy nie oznacza to pewnego signum temporis, nie tyle nawet literatury, co życia społecznego...

I wreszcie trzeci rodzaj prac konkursowych czynił przedmiotem zainteresowania kwestie obyczajowe, kwestie samotności czy też pewnej egalizacji, zrównania i zatarcia gra-

Dokończenie na str. 2

Stanisław Nawrocki

Pierwsze dni okupacji hitlerowskiej w Wielkopolsce

Dokumenty niemieckie z czasów wojny stanowią podstawę licznych prac naukowych nt. nazistowskiej okupacji w Polsce. Wykorzystanie tych źródeł — wobec dążeń reakcyjnych kół w Niemczech Zachodnich do wybielania przeszłości hitlerowskiej — jest pilną potrzebą chwili. Tym bardziej więc należy odnotować zapowiedź ukazania się w Instytucie Zachodnim pracy adiunkta Archiwum Państwowego w Poznaniu, dr. Stanisława Nawrockiego pt. „Hitlerowska okupacja Wielkopolski w okresie zarządu wojskowego, wrzesień — październik 1939”. Z pracy tej drukujemy niektóre fragmenty, dotyczące pierwszych dni okupacji hitlerowskiej w Wielkopolsce.

Szczególną uwagę przy omawianiu początków okupacji w Wielkopolsce poświęcić należy grupom operacyjnym policji bezpieczeństwa (Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei). Grupy te rozpoczęły działalność w czasie walk na zapleczu armii. Wtedy był to raczej okres przygotowawczy. Dopiero w okresie istnienia zarządu wojskowego ludność polska miała w pełni odczuć rolę hitlerowskiej machiny policyjnej w systemie okupacyjnym.

Grupy operacyjne policji bezpieczeństwa, zorganizowane przez Główny Urząd Służby Bezpieczeństwa (późniejszy Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy), działały w ramach „akcji Tannenberga”.

Zadaniem ich było zwalczanie wszelkich form polskiego oporu i działalności skierowanej przeciw

Trzeciej Rzeszy. Pierwsze czynności Einsatzgruppe VI wiązały się z nakazem natychmiastowej pacyfikacji podległego terenu. Według rozkazu szefa grupy, Naumanna, należało brutalnie łamać wszelki opór.

*

Od początku istnienia zarządu wojskowego organizowano w Wielkopolsce również hitlerowskie więzennictwo. Podobnie jak na terenie Rzeszy, także tutaj zakładano więzienia różnego rodzaju i stopnia. Zaczęto też tworzyć obozy koncentracyjne. O potrzebie zorganizowania w Wielkopolsce obozu koncentracyjnego po raz pierwszy mówiono w dniu 5. 9. 1939 roku na konferencji u generalnego kwatermistrza sztabu dowódcy poznańskiego okręgu wojskowego ppłk. J. v. Hansteina. Oboz ten miał powstać na obszarze składu amunicji przy ul. Warszawskiej w Poznaniu. Pilnowanie i zaopatrywanie obozu należało do wojska, natomiast decyzje dotyczące więźniów zastrzegano dla policji bezpieczeństwa. W razie niemożności odszukania przestępcy, w obozie mieli być zamknięci mieszkańcy całej dzielnicy. W sprawozdaniu z swej działalności Greiser, jako szef zarządu cywilnego, w tym dniu podał, że aresztowani przez policję polscy nauczyciele i duchowni przekazani będą do przygotowywanych obozów koncentracyjnych. Następnego dnia, czyli 26 września, grupie wojskowej gen. Schenckendorffa zlecono utrzymanie mającego powstać w Poznaniu obozu. Oboz ten powstał ostatecznie na

Poznański konkurs

Dokończenie ze str. 1

nie między różnego rodzaju grupami zawodowymi, grupami wieku, pochodzenia, przynależności... Właściwie ta część powieści przedstawiała się najefektowniej od strony literackiej — od strony nastroju i żywości myśli. W tej odmianie powieści dość często były podejmowane kwestie polityczne i światopoglądowe, ale — jak cała reszta — ujmowane były marginesowo, widzialne z boku i opisywane delikatnie, jakby przez woalkę i koronki taktu i stylizacji.

Wymieniłem trzy rodzaje powieści tak, jak układały mi się one w pamięci wtedy, gdy mi czytał i próbował znaleźć dla ich mnogości jakieś wspólne oznaczenia i zasady uszeregowania. Podział ten — jak wszelkie podziały — nie wyodrębnił wszystkich odmian powieści, jakie się znalazły na poznańskim konkursie. Co najwyżej próbuje — na doraźny użytek — znaleźć jakieś szufladki, w których można by ułożyć najważniejsze, najczęściej występujące zjawiska.

Toteż jury miało sporo kłopotu, ażeby znaleźć jakieś nadrzędne kryterium wyróżnienia spośród kilkudziesięciu prac powieściowych owe 6-7 utworów najlepszych, koronnych pretendentów do pierwszych nagród i wyróżnień. Za to główne kryterium przyjęto ostatecznie zasadę, iż każda z nagrodzonych prac powinna wnosić coś nowego w tło ogólne dzisiejszej powieści polskiej. A zatem i temat, i problemy, i ujęcie ich powinny być zrobione przez

pisarza tak, aby się wyraźnie różniły od tego, co mieliśmy okazję czytać dotąd w powieściach.

Każdy z jurorów zgłaszał swoich faworytów. Potem była dyskusja. Potem głosowanie tajne. Potem znowu dyskusja. I znowu głosowanie...

W konsekwencji okazało się, że największą jednogłośnie w odniesieniu do realizacji przyjętego na początku kryterium jurorskiego uzyskały powieści: Juliusza Znamierowskiego „Jutro będę młodszy”, Jerzego Jesionowskiego „Przeżywajcie potrzebni codziennie” oraz Natalii Gall „A ty plakałaś, Adriano”, natomiast wyróżnienia otrzymały powieści Bogusławy Latawiec „Nie widziałam tak długiej choro-ragii”, Bogusława Koguta „Komu wolno żyć” i Ryszarda Daneckiego „Kropla oceanu”.

Nagród nie starczyło dla większej liczby prac, toteż jury poznańskiego konkursu, któremu przewodniczył Władysław Machejek, wskazało jeszcze kilkadziesiąt prac, które były przedmiotem dyskusji i użyskały dodatnie opinie, sugerując, aby Wydawnictwo Poznańskie nawiązało kontakt z ich autorami i uwzględniło je w miarę swych możliwości w planach wydawniczych. Wydawnictwo zainteresowało się tymi pracami i wprowadziło już część z nich do swego portfela edycji roku 1965. Takie zdanie zawarte było w informacji dyrektora wydawnictwa, Jerzego Ziółka, na ostatniej konferencji prasowej, poświęconej planom poznańskiej oficyny na najbliższy okres.

Zatem bogaty plon konkursu już wkrótce wejdzie do produkcji wydawniczej i stanie się przedmiotem konfrontacji — tym razem społecznej. Ona będzie mieć ostateczne słowo w ocenie poznańskiego konkursu.

FELIKS FORNALCZYK

Wacław Lica

Mój syn złodziejem?

Niedawno odwiedził mnie ojciec Andrzeja, ucznia trzeciej klasy szkoły zawodowej dla pracujących. Przyszedł zapytać o postępy syna w nauce. Wspólnie przejrzyliśmy dziennik lekcyjny stwierdzając, że od ostatniej wywiadówki niewiele się zmieniło. Andrzej jest uczniem zdolnym, lecz pilnością nie grzeszy. Kiedy mój gość spuścił smutnie głowę i długo nad czymś dumał, zacząłem się domyślać, że do szkoły sprowadziło go poważniejsze zmartwienie niż zła ocena Andrzeja z technologii. Jak trudno jest oskarżyć własne dziecko, niewymownie świadczyć i bylszczać w oczach starego ojca, gdy zaczął swą smutną opowieść:

Trzy lata minęły od śmierci żony. Andrzej miał wtedy piętnaście lat i przeżywał to nie mniej boleśnie ode mnie. Tylko że względu na syna nie ożeniłem się po raz drugi. Postanowiłem zastąpić mu matkę. Od rana chodzę po mleko i pieczywo, przygotowuję chłopcu śniadanie i dopiero wtedy go budzę. Obiady gotuję wieczorem, bo do godziny piątej pracuję, a przecież zakupy też muszę poczynić. Nie przychodzi mi to łatwo, zbliża się przecież szósty krzyżyk. Zarabiam 1800 złotych, ale na siebie niewiele wydaję; najważniejsze, by Andrzej nie miał krzywdy. Syn zarabia obecnie 620 złotych miesięcznie. Nie żądam od niego tych pieniędzy, wiem że jest młody i musi się zabawić. Każdego miesiąca z mojej pensji odkładam 200 złotych, bo chciałem Andrzeja z okazji ukończenia szkoły kupić nowe ubranie. Odłożyłem już 1000. Przed tygodniem stwierdziłem, że pieniądze zginęły. Andrzej mówi, że ich nie ruszał, a przecież wiem, że nikt inny nie mógł tego zrobić. Poza kolegami Andrzeja nikt do nas nie przychodzi, ale oni mogli przebywać w naszym mieszkaniu tylko w obecności Andrzeja i nie wiedzieli, gdzie chowam pieniądze.

Tysiąc złotych to dużo pieniędzy, ale o wiele więcej boli mnie to, że mam syna złodzieja. Wprost trudno mi uwierzyć, że zrobił to mój Andrzej i to za tyle z mej strony poświęceń dla niego. Obecnie atmosfera w domu jest ogromnie napięta. Nie rozmawiamy ze sobą. Andrzej też się męczy, słyszę jak po nocach nie może spać. A może ja jednak nie mam racji? Może krzywdę chłopca niesprawiedliwie?

Cóż miałem powiedzieć temu biednemu ojcu, który wpatrywał się we mnie wyczekująco, jak gdyby spodziewał się usłyszeć z mych ust słowa utwierdzające go w jego cichej nadziei? Trudno powiedzieć, jak bardzo chciałem mu pomóc. Być może, że to co powiedziałem, nie było przyjemne, ale wydaje mi się, że tak trzeba było.

Niech się pan nie spodziewa ode mnie, że dam panu odpowiedź na

pytanie, czy Andrzej przywłaszczając sobie pieniądze. Często bywa tak, że nie ten dokonuje przestępstwa, na kogo padają podejrzenia i przeciwno komu przemawiają okoliczności. Nie zdziwiłbym się jednak wcale, gdyby istotnie tak było. Andrzeja znam jako ucznia, jako syna zaś tylko o tyle, o ile pozwalają mi na to pańskie szczupłe, choć niewątpliwie bardzo szczere i prawdziwe informacje. Jednak już to, co mi pan powiedział wystarczy, aby wyciągnąć wniosek, że pan sam ponosi odpowiedzialność, iż syn stał się taki. Przecież to pan sam wychowuje go na lenia i pasożyta, pan sam nauczył

Wszysej jesteście wychowawcami

go lekceważyć siebie, przyjmując dobrowolnie obowiązki służące własnego syna. Śmierć matki była z całą pewnością ciosem dla Andrzeja, ale przecież żadne dziecko nie ma prawa korzystać z usług rodziców, nie im w zamian nie dając. W dobrej rodzinie prawa i obowiązki rozłożone są proporcjonalnie w zależności od potrzeb i możliwości poszczególnych jej członków. Odcinając syna od wszystkich obowiązków w domu, wyrządził pan mu krzywdę

dę, którą dzisiaj trudno będzie naprawić. Nie jest jednak wcale za późno. Musi pan z Andrzejem porozmawiać jak z dorosłym, ma już przecież 18 lat. Niech mu pan szczerze powie o nie najlepszym stanie swego zdrowia i wspólnie dokonajcie podziału obowiązków domowych. Andrzejowi nie przyjdzie łatwo nagiąć się do nowych warunków. Zależać to będzie w dużej mierze zarówno od pańskiego taktu jak i stanowczego przestrzegania obustronnej umowy.

A teraz sprawa w tej chwili najbardziej bolesna — sprawa pieniędzy. Uważam, że przynajmniej na razie, niecelowa byłaby dalsza dyskusja na temat ewentualnego sprawcy kradzieży. Natomiast nie wolno panu dłużej żywić i przyodziewać dorosłego mężczyzny zarabiającego już wcale ładny grosz. Niech więc pan zaproponuje synowi założenie książeczki oszczędności i dopilnuje, by regularnie każdego miesiąca wkładał na nią pozostały zarobek. Do końca roku szkolnego za własne pieniądze będzie mógł kupić ładny garnitur. Niech pan nie zapomina, że za pół roku Andrzej będzie zarabiał 1200 złotych, a po roku — więcej niż pan. Za to, czy do tego czasu nauczy się mądre gospodarować własnymi pieniędzmi, czy też nadal będzie pasywnym na pracy starego ojca, jest pan także odpowiedzialny.

Wydawało mi się, że ojciec Andrzeja zgadzał się ze mną nie tylko z grzecznością, ale i dlatego, że wierzył w słuszność zarzutów i skuteczność moich rad. Nie wiem tylko czy starczy mu sił, by z nich skorzystać. Zegnając się, prosił tylko, bym nic o naszej rozmowie nie mówił Andrzeja, tym bardziej, że nie jest pewien, że to on zabrał pieniądze.

Seria dokumentalna o wojnie z faszystym

W maju 1965 r. — w 20 rocznicę kapitulacji faszystowskich Niemiec — na ekrany kin w ZSRR wejdzie dwuseryjny film dokumentalny, poświęcony walce narodu radzieckiego i zwycięstw radzieckich sił zbrojnych nad hitlerowskimi. Nad filmem pracują znany reżyser Roman Karmen i scenarzysta Sergiusz Smirnow.

— Ukończyli już pisanie scenariusza i wybór materiałów — stwierdził R. Karmen. — Obecnie przystępujemy do prac montażowych. Współpracują z nami reżyserzy-montażysty Marian Babak, Irina Puzanova, a także dwaj studenci wydziału reżyserskiego WGIK-u — Włodzimierz Szorochow i Pet Wajnestu.

Film mieć będzie dwie serie. Pierwsza część nosić będzie nazwę „Próba”, druga „Odwet”. Oprócz zdjęć znajdują się w nim także relacje uczestników wydarzeń, które widz oglądać będzie na ekranie.

Jak wiadomo, na Zachodzie powstało wiele filmów o drugiej wojnie światowej. Niestety wiele z nich wypacza prawdę historyczną i pomniejsza rolę Związku Radzieckiego w zwycięstwie nad hitlerowskimi Niemcami. Chociaż głównym tematem naszego filmu będzie ukazanie trudu i zwycięstwa naszego narodu, nie pominęliśmy wkładu innych krajów.

Przed przystąpieniem do realizacji przejrzyliśmy ponad milion metrów radzieckich kronik filmowych z okresu wojny i zapoznaliśmy się z kadrami niemieckiej „Wochenschau”. Ministerstwo Sił Zbrojnych Francji udostępniło nam swoje archiwum filmowe, w którym znaleźliśmy interesujące dokumenty o walce francuskiego ruchu oporu i okupacji w tym kraju. W brytyjskim muzeum wojennym odnaleźliśmy materiały poświęcone marynarom, którzy odbywali rejsy w Arktyce, dostarczając do ZSRR zaopatrzenie wojskowe. Archiwalne kroniki przestały nam także Jugosłowianie i Czechosłowacy, sporo materiałów znaleźliśmy w archiwach Polski i Węgier, m. in. w filmie znajdują się zdjęcia ukazujące powstanie słowackie i walkę polskiego ruchu oporu. Chodzi nam o zobrazowanie, jak wielką rolę odegrał ruch oporu i walka narodów Europy w rozgromieniu faszystów. (PAP)

Eugeniusz Paukszt

Z PIW-owskich przyswojeń

Na warsztat tłumaczy trafiają rzeczywiście pozycje wybrane, wyselekcjonowane starannie, bez żadnej tak częstej ongiś przypadkowości. To kryterium ostrego doboru przestrzegane jest zwłaszcza w PIW-ie.

Z literatury amerykańskiej otrzymujemy dwie nowe pozycje. Pierwsza ukazała się w serii KIKU, „Puszcza” R. P. Warrena (autor „Gubernatora”). To powieść, mimo iż osadzona mocno w realiach wojny domowej w Ameryce — widzianej i doświadczanej oczyma bawarskiego Żyda, emigranta, szukającego w nowym kraju pełni prawdy i wolności — zarazem metaforyczna. Książka w lekturze bynajmniej niełatwa, wymagająca pewnego wysiłku, ale głęboka i ludzko mądra. Druga książka z kręgu literatury amerykańskiej jest „Miejsce pogrzebanych nadziei” Johna Cheevera, zbiór opowiadań, utrzymanych w tonacji z poezji lirycznej i cieniutki, groteski, arcykawy psychologicznej, a próbujących sięgnąć w głąb pozornie ustabilizowanej i beztroskiej części społeczeństwa Ameryki. Autor z kronikarską precyzją śledzi podskórne nury, niepokoi i leki, przechodząc często w obsesję, strona po stronie rozszyfrowując tajemnice księgi spokojnego pozornie i dostojnego żywota.

„W cieniu wulkanów” Normana Lewisa, to znowu Południowa Ameryka, widziana sceptycznymi oczyma angielskiego pisarza. Tem tej ni to relacji, ni to fabularnej powieści, sa dzieje jednego z puców rządowych w Gwatemali. Wielki interes USA, marionetkowi władzy, swoiste kulisy rozgrywki, a przy tym naiwna wiara niektórych w słuszność własnych poczynków, osobliwa sceneria kraju, konflikt wielkich fortun i nędzy indyjskiej, wreszcie wątek romansu potomka brytyjskiego plan-

tora z miejscową dziewczyną — to główne nury tematyczne tego interesującego utworu.

Ciekawą pozycją, na pewno wydatnym czytelniczym jest polezny tom Oscara Lewisa „Sanchez i jego dzieci”, opracowany przez wybitnego antropologa meksykańskiego, autobiografia rodziny meksykańskiej ze słumów. Nowością tekstu, a jak chcą niektórzy, nawet nowy rozdział w dziejach powieści, wynika z faktu, iż rola Lewisa ograniczyła się do uporządkowania i właściwego układu tekstów uzyskanych przez zapis magnetofonowy. Oto bowiem opowiada swoje dzieje Sanchez i jego czworo dzieci, taśma notuje słowo po słowie... Rzecz ryzykowna, ale w rezultatach pasjonująca, literacko na swoisty sposób naprawdę świetna. Co ujmuję w tej książce: nieklamany, szczerzy humanizm, odkrywany często na tzw. dnie życia.

Świetny pisarz ten Giuseppe Marotta (zm. w r. 1963), dotychczas w Polsce niezany. Dopiero obecnie otrzymaliśmy tom jego błyskotliwych, uroczych i tak bardzo włoskich opowiadań „Złoto Neapolu”, gdzie jak szlachetne kamienie mieni się uroda typów ludzkich i nieba, przedmiot Neapolu i rozdrąkanego słońca, słowo pisarza. Marotta oscyluje między żartem i jadalną ironią, od melancholijnego sentymenciku ucieka po wielowymiarowy dramat, humor miesza z sarkazmem, tony liryczne z kronikarską dokładnością notatki.

I jeszcze „Słoneczna dolina”, nowy, coroczny wybór najlepszych opowiadań literatury radzieckiej 1963 roku. Piętnastu autorów, piętnaście walców, wszystko niesłychanie charakterystyczne dla nowych treści w literaturze naszego sąsiada. Wśród autorów w. in.: Achmadulina, Solzenicyn (ślońce „Zdarzenie na stacji Kreczowlowa”), Władimow, Woronin, Grossman. Bardzo cenna jest ta coroczna inicjatywa PIW-u, dająca nam bezpośredni wgląd w ferment, ożywiająca treściowo i formalnie literaturę radziecką.

Z KSIĄŻKA NA TY

DO REDAKCJI „GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO”

(drugie piętro)

Pierwszą swoją fraszkę w Poznaniu (a piątą w kolejności) wydrukowałem właśnie w „Głosie” (nr 27 z dnia 4 lipca 1948!) o czym z okazji Waszego jubileuszu nieśmiało tu przypominam. Jakby nie było — 17 lat też nie jest do pogardzenia! Spinając więc swego rodzaju fraszkową kłamrą tamten dzień i dzisiejszą okragluta rocznicę pozwalam sobie zamieścić poniższy utworek:

„20”

Nowy powód jest do chwały,
więc życzenia prześlę rad:
czas już wkroczyć w wiek dojrzały,
gdy się ma dwadzieścia lat!!

Z satyrycznym pozdrowieniem

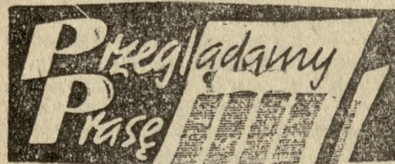
WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

TELEGRAMMA

„GŁOSOWI” NA XX-LECIE

W tak uroczystym dla Was dniu,
w nader podniosły upadam ton —
Nie szczędząc swych głosowych strun,
„GŁOSOWI” życzę m o c n y c h strun.

LECH KONOPINSKI
(„KOLEC” KAKTUSA)



CZY PANI LUBI DEGLOMERACJĘ!

Dyskusja na ten temat toczy się już nawet — jak pisał Antoni Głowinski w „Polityce” — w kawiarniach. Można to uważać za krok w postępie na drodze wychowania ekonomicznego społeczeństwa, ale faktem jest, iż sprawa deglomeracji interesują się dzisiaj niemal wszyscy. Problem sprowadza się do tego: czy budować nowe zakłady w dużych miastach, gdzie w zasadzie brak wolnych rak do pracy, czy też w miejscowościach mniejszych, gdzie zbudowanie zakładu pracy mogłoby przyczynić się do rozwiązania problemów zatrudnienia. Sprawa nie jest tak prosta, jakby na pozór mogło się wydawać. Głowinski, rozpatrując ten problem na przykładzie Warszawy, pisze m. in.: „Nie przesadzając z góry wyników deglomeracji ani losu rezerw produkcyjnych, nie zapominać: tak czy owak trzeba będzie zbudować pewną ilość nowych zakładów przemysłowych. Jakże one powinny być — duże, czy małe, gdzie zlokalizowane? W świetle toczącej się dyskusji, na uwagę zasługuje projekt budowy około 100 małych zakładów — zwanych w skrócie TMK (typowe, małe, kooperacyjne), opracowany przez przedsiębiorstwo projektowe MPC „Prozamet”. Z dotychczasowych wstępnych obliczeń wynika, iż budowa TMK będzie znacznie tańsza, bo o jakieś 30 procent od ewentualnej rozbudowy istniejących zakładów produkcyjnych. Trzeba także wziąć pod uwagę stosunkowo krótki okres budowy i uruchomienia produkcji, co jest szczególnie ważne w związku z nadciągającym wyżem demograficznym oraz planowanymi przez przemysł pewnymi zmianami w programach produkcyjnych.”

Autor przestrzega przed pochopnym podejmowaniem decyzji o budowie takich zakładów, gdyż — jak do tej pory

— rzadko kto potrafi uczciwie stwierdzić: „nie budujcie u nas fabryk, nie jesteśmy w stanie zapewnić siły roboczej”. Znacznie częściej qołosownie zapewnia się — wbrew faktom — że jest przeciwnie.

FALA ODPLYWU — PRZYPLYWU

Nie jest tajemnicą słosunkowo duża fluktuacja kadr w naszej gospodarce. Wiesław Wernic na łamach „Tygodnika Demokratycznego” podaje, iż w jednym tylko roku (1962) ponad milion osób opuściło swoje dawne miejsce pracy. Rzecz godna uwagi, że sa to ludzie, którzy pracowali w jednym zakładzie poniżej 5 lat. Jeśli zaś chodzi o przychyny rozwiązywania umów o pracę, to zainteresowani wymieniali pośród nich na czołowym miejscu złą atmosferę w miejscu pracy. By zapobiec tym szkodliwym przecież zjawiskom, w niektórych zakładach wprowadzono elaty osób zajmujących się zawodowo badaniem stosunków międzyludzkich na terenie miejsc pracy, a więc socjologów czy psychologów. Próby te jednak sa jeszcze nieliczne, ale mimo to należałoby — zdaniem autora — dokonać analizy płynności kadr w tych zakładach. Może właśnie tedy droga do zmniejszenia fluktuacji kadr.

AGRONOM — KIEROWNIK PRODUKCJI

Większe spółdzielnie produkcyjne opierające — jak wszystkie — swą działalność na samorządzie, zatrudniają od kilku lat agronomów w charakterze kierowników produkcji. O tym, jak układa się współpraca między agronomem, opłacanym przez państwo, a zarządem oraz oqółem członków spółdzielni, pisze na podstawie badań przeprowadzonych przez Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego Zygmunt Wojtaszek na łamach „Zycia Gospodarczego”. Autor dochodzi do wniosku, że samorządny charakter spółdzielni

w poważnym stopniu utrudnia działalność personelu operatywnego kierownictwa, zwłaszcza najemnego.

„Chociaż stwierdza się pozytywny wpływ kierownika produkcji na jej wyniki — czytamy — to jednak pozycja jego jest jeszcze ani w pełni precyzyjna, ani też utrwalona. Przy dobrze rozwiniętym i zorganizowanym samorządzie, kierownik ma ograniczone możliwości działania, spełnia w zasadzie rolę doradcy i pomocnika w kierowaniu. Rana jego rośnie, gdy następuje zmiana wybieralnych władz spółdzielni. Współdziałając bowiem z władzami kolejnych kadencji, zapewnia ciągłość toku działalności gospodarczej spółdzielni.”

DYSKUSJA O CENACH SAMOCHODÓW

Wojciech Kubicki na łamach „Motoru” (nr 5) zapropo nował, generalną zmianę cen samochodów w tym kierunku, by podwyższyć ceny pojazdów importowanych w zamian za obniżkę krajowych. W bieżącym wydaniu „Zycia Gospodarczego” w felietonie „Cui bono!” (autor WSG) dorzuca nowe argumenty przemawiające za takim rozwiązaniem. W „Motorze” tymczasem toczy się dyskusja, w której udział biera czytelnicy. Ich zdanie jest w tej sprawie nieco lub generalnie inne. Redakcja obiecuje artykuł na ten temat w następnym wydaniu. Czekamy, zreferujemy.

Ponadto w „Gazecie Chłopskiej” Halina Mierczyńska zabiera głos na temat budownictwa na wsi, krytykując różne utrudnienia w tej dziedzinie, a zwłaszcza, utrudniające rozwój budownictwa wiejskiego przepisy, z których część pochodzi sprzed ćwierć wieku; „Głos Nauczycielski” wieksość bieżącego wydania poświęca województwu olsztyńskiemu, które, jako pierwsze z województw zachodnich i północnych obcho dzi dwudziestolecie powrotu do Maciejczy; „Tygodnik Kulturalny” rozstrzygnął konkurs na kronikę dwudziestolecia (wyróżniona została m. in. kronika Poznańska); „Walka Młodych” rozmawia z Wojciechem Zukrowskim o filmie „Barwy walki”.

LEKTOR